

Jacek Brzezina

W objęcia Europy

Noc. Smugi iskier, słabo oświetlone budynki, zielone mundury strażników celnych — „heil Hitler”... z państwa „sanacyjnego” wjechałem do państwa „totalnego”. Tak niby oba nazywają. Ja

ców hutniczych zięjących siupami ognia, z olbrzymimi, wiecznemi dymiącymi hałdami węgla, pokryta ciemną zasłoną dymów. — Kuźnia imperialistycznych Niemiec.



Kościół w Saarbrücken (Niemcy)

ka jest między nimi różnica — to już rzecz polityków, a nie rozparciego na twardych ławkach trzeciej klasy podróżnego.

NIEMCY

„Heil Hitler”... Ano jest. Jak i u nas portrety i (co w tym wypadku ważniejsze) badanie stanu kieszeniowego pasażerów.

Jedziemy. Po godzinie, wschód słońca ukazuje nam linię, która powinna być według wszelkich danych granicą polsko - niemiecką — rzekę Odrę. Godzina drogi... Daleko cofnęliśmy się do tyłu, daleko sięgnął zaborczy „drang nach Osten”.

Wreszcie Berlin. Brzydki, ponury. Życie zamknięte w wielkich, koszarowych budynkach, ozdobionych nieodpowiednimi zielonymi żaluzjami, i deseniami z czerwonych cegieł.

BEZ ŻYDÓW

„Heil Hitler”! Żydów jak gdyby zupełnie nie było. Cisza, spokój, oddycha się spokojnie. Gdy jeden się pojawił, (zresztą bardzo porządnym i patryjarchalnie wyglądającym), to wszędzie odprawiano go z kwitkiem mówiąc, że miejsca zajęte... I na stacjach z tego powodu jakoś porządniej i czuje się człowiek lepiej, wdychając pobożnie w duchu „żeby to tak i u nas było...”

Przesuwają się za oknami beznadziejnie płaskie polacie kraju, z koszarowymi miasteczkami, kanciastymi i twardymi jak pruski but, pozbawionymi jakiegokolwiek sentymentalizmu prowincjonalnego czy folkloru. Od czasu do czasu płaszczyznę przecina równa linia wspaniałej autostrady, coraz to wylaniają się olbrzymie słupy elektryfikacyjnych linii... Wszędzie pedantyczna czystość i porządek — z tych jednak, które nie trafiają do naszej duszy, przekonania.

Westała — z niezliczoną ilością kominów fabrycznych i pie-

Spod przytłaczającego widoku żelaznych rur, pieców i żurawi, nocą już wpadamy na romantyczny most nad Renem, rzucam, przelotnie okiem na katedrę w Kolonii i — skok w przestrzeń, — z totalizmu do super - wolności. Z Niemiec do Belgii.

BELGIA

Pierwszym jej zwiastunem, to żydzi, którzy nagle, jak gdyby gdzieś spod ziemi znaleźli się na korytarzach, zapelnili je swoim specyficznym widokiem, szwargotem i arogancją. W drodze przez Niemcy, wtuleni gdzieś po kątach przedziałów, zasłaniający się gazetami lub udający (w miarę swych fizjonomii) aryjczyków, teraz odżyli, odetchnęli „wolnym” powietrzem. Pełno ich (naturalnie większość „Polaków”) i zdawać by się mogło, że tylko oni są na świecie.

Belgia. Nadzwyczajna uprzejmość jej mieszkańców, piękno pełnego zieleni, łagodnego w porównaniu z Niemcami krajobrazu... Sława za naszych dziadów Osten da z pięknymi plażami i hotelami... Statek, tloł, coraz więcej żydowskich twarzy... Szare, niepociągające wody Kanału La Manche — i wreszcie dobijamy do widocznego już zdala, białych, wapiennych urwisk.

Skołatana kilkudziesięciu - godzinna podróż dusza i ciało, dobijają do największej Europy w Europie — do Anglii.

W ANGLII

Stacja kolejowa w Dourze z pięknym pomnikiem poległych w czasie wojny funkcjonariuszów kolei angielskich. Pierwsze zdumienie — bagaż miast wojska i tłoczyć w przedziałach, oddaje się do specjalnego wagonu, gdzie pod okiem konduktora dojeżdżają na miejsce przeznaczenia (gratis). Drugie — wchodzi się do przedziału i widząc miękkie siedze-

nia, komfort etc., chce się wyjść, sądząc, że to — pierwsza klasa. Lecz gdzież tam. To zwykły „trzeciak”! W pierwszej są fotele i stołki — tutaj „tylko” miękkie siedzenia. A niechże tych Anglików, nie ma co — wygodny naród! W toalecie woda zimna i gorąca, ręczniki...

Wpadamy w objęcia Anglii. Zieloną, wspaniałą, soczystą, tu tylko znaną zielenią trawa bawi wzrok, migają czystości, jak z kartonu wybudowane miasteczka, w których wszystkie domy są podobne do siebie... Na prawo grają w hockeya na trawie, na lewo na olbrzymim polu, rozlokowała się hodowla kur... Wśród drzew wędrowni cyrk, wszędzie pełno stad baranów, podziwiać można nieśmiertelne angielskie żywopłoty... Jakiś urok posiada ten kraj, urok swobody, wygodny i aż do perfidii doprowadzonej czystości. Ta czystość i porządek, tak obcy w Niemczech, tutaj przemawia w stu procentach do naszego „słowiańskiego” przekonania.

I WRESZCIE LONDYN

Cóż można o nim napisać po paru dniach pobytu. Z jednej strony bardzo dużo, z drugiej chyba nie. — Miasto olbrzym, gdzie odległość dziesięciu kilometrów jest prawie

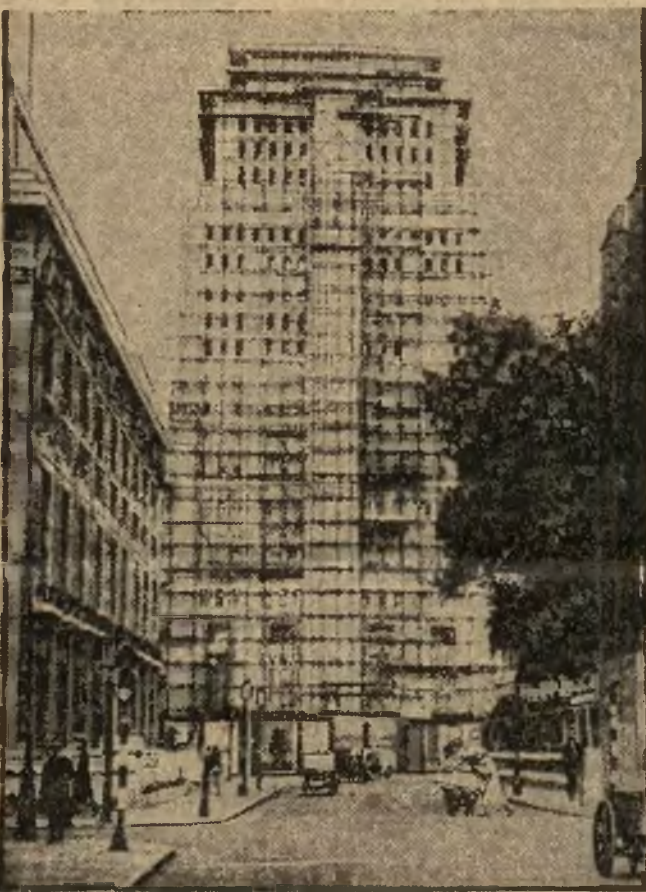
dyn podziemny, niemniej imponujący jak jego brat nadziemny.

Automat wyrzucający bilet i reszta, ruchome schody, po których zjeżdża się o parę pięter pod ziemię, tunele na prawo, tunele na lewo — z sykiem zajeżdżają co minutę długie potwory, otwierają automatycznie drzwi, wyrzucają z siebie ludzką czeredę, zabierają nowy transport i w drogę... O — lacja ułatwiona do maksimum. Wszędzie napisy, znaki — pomylić się, to znaczy być skończonym kretyńcem. W pięć minut przejeżdża się kilkanaście kilometrów, w czasie iście błyskawicznym przenosi się czło-wiek z jednego końca miasta na drugi.

To się rozumie!

Mgły — jeszcze nie widziałem, lecz w następnej korespondencji napewno znajdziecie ją Kochani Czytelnicy. Londyn bez mgły, to jak Warszawa bez żydów, lub Kraków bez emerytów i dewotek!

P. S. Do wiadomości naszych Czytelników, którzyby chcieli udać się do Londynu (aby tylko nie na skutek moich korespondencji) podaję, że o informacje co do podróży należy się pytać wszędzie, tylko nie w Orbisie i nie u



Gmach uniwersytetu w Londynie

niczym. Tłumy samochodów, przechodniów, piętrowych autobusów, tramwaj bez szyn lub bez drutów (na peryferiach), a przy tym wszystkim ruch tak wspaniale uregulowany, że nie ma mowy o jakimś przejechaniu czy potrąceniu...

W nocy istna orgia świetlnych reklam, w dzień pstrokaty tłum, czerwone mundury i czarne bermudy gwardii, liberie i cylindry.

Na górze bez mapy ani rusz, na dole też. Bo jest przecież Lon-

Cook'a. Bilety — owszem sprzedadzą, lecz poinformują tak, że już począwszy od Berlina jedzie się zupełnie inaczej. Nie ma to jak nasza organizacja!

A jeżeli Kochani Czytelnicy w konsulatach gdzie będziecie wyrabiać wizy nie zobaczycie ani jednej aryjskiej twarzy (wśród klientów naturalnie) — to nie dziwcie się temu. Dziś u nas w Polsce paszporty posiadają i podróżują zagranicę tylko żydzi — lecz niestety, zawsze wracają!

Z teatru o teatrze

Grzymała pisze bajkę a teatr ją wystawia

TEATR LETNI: „ORMIANIN Z BEYRUTU CZYLI SAME ZMARTWIENIA”. KOMEDIA W 3 AKTACH ADAMA GRZYMAŁY SIEDLECKIEGO

Od końca pierwszego aktu na czwartkowej premierze, aż do tej chwili zastanawiam się, dlaczego Siedlecki napisał tę sztukę? Jest to oczywiście pytanie tylko retoryczne, bo skoro ją napisał to jasne, że — chciał ją napisać. Widzowi jednak wolno stawiać pytania retoryczne.

Zdaje się, że autor ma na swoje usprawiedliwienie dwie rzeczy. Po pierwsze, jak sam przyznaje, ma w żyłach „25 proc. krwi ormiańskiej”, chciał więc „poznać krewniaków”. Po wtóre jako starszy, mądry pan ma przywilej opowiadania bajek.

„Ormianin z Beyrutu” jest bajką. Kolorowa, wzorzysta, jak wschodni kobierzec, utkana ze śmiechu, grozy, miłości i łez. Przypomina nieco bajki Szecherezady: jak one posiada kilka wątków, splątanych ze sobą, jak one nie ma właściwie początku, ani — co gorsze — końca, jak one przepleciona jest mnóstwem bystrzych spstrzeżeń, psychologicznych i celnych uwag, jak one wreszcie jest rozlewna i niespieszna tak, jak psychika ludzi Wschodu, którzy zawsze „mają czas”.

Tym tylko różni się od bajek Szecherezady, że jest od nich mniej cieka-

kawa. Szanowny Autor wprowadza widza w sam środek pogmatwanych i ciemnych spraw handlowych i rodzinnych niej, pana Naskardziana, prawego Ormianina, szeroko i bez pośpiechu maluje sylwetkę kupca, starannie rzeźbi każdy rys jego psychiki tak, że Naskardzian żyje prawdziwym życiem w wyobraźni widza. Tak samo realne, żywe są pozostałe postacie tej bajki. Więc pierwsza żona Naskardziana — Etizaweta — spokojna, opanowana, świadoma swej sily rozrodczej, więc Marta — druga żona — leniwa, lubieżna, amoralna kobieta wschodu, więc eunuch Ali, ospały, tłusty, jak trzeba, więc ognisty szubrawiec Jemiel; giętkie, oślizgłe „indywiduum lewantyńskie” — Kokopopulos. Tylko Manasse, starozakonny lichwiarz potraktowany jest z nieoczekiwanym sentymentem, wskutek czego prawdziwy tylko w połowie, tej odrażającej.

Komedia napisana jest wedle wszelkich reguł sztuki. Siedlecki zna teatr jak rzadko kto, ma rzetelny talent pisarski, dużą kulturę słowa i poczucie komizmu — czegoż więcej potrzeba do napisania komedii? Chyba tylko jeszcze garść wspomnień, no i kapersu autora, którego mu wybrać taki właśnie, a nie inny temat.

Jeszcze jedna uwaga. Jeśli dykcja teatru Letniego „puszcza się” na egzotykę, to już trzeba było dopilnować, aby tej egzotyki nie brakowało. Myślę, że gdyby włożono w wystawienie „Ormianina” jeszcze nieco wysiłku, całosc zyskałaby naprawdę wschodni smaczek. Możliwość były. Komedia ta aż prosi się o odpowiednią oprawę. Ta, którą dano „Ormianinowi” w teatrze Letnim, nie była dostateczna. Nie oddawała w pełni nastroju, nie podnosiła uroku rzeczy dalekich, jakimi wypelniona jest treść komedii. Prawda, były dekoracje starannie obmyślane i pięknie opracowane przez Stanisława Jarockiego,

był Arab w burnusie, tajemniczo bryskający oczyma (Stanisław Malajński), były i okrzyki poganiaczy wielbłądów za sceną — ale to nie wystarczało. Reżyseria R. Omana Niewiarowicza właściwie podkreślała to, co podkreślać należało, sądzę jednak, że również nie wyszukała wszystkich możliwości scenicznych zawartych w komedii.

Mimo tego wszystkiego „Ormianin z Beyrutu” nie prędko, zdaje się, zjedzie ze sceny. Będzie się podobał publiczności zarówno dla tego, że, mimo swej egzotyki, ukazuje wiele bardzo ludzkich, zwykłych spraw, jak i dla tego, że daje duże pole do popisu Antoniemu Fertnerowi. Fertner gra rolę tytułową tak, jakby miał nie 25 proc., ale 50 proc. krwi ormiańskiej w żyłach. Sylwetka Naskardziana jest wyrzeźbiona mistrzowsko. Fertner nie pominął żadnego szczegółu, żadnego gestu, żadnej intonacji z tych, które powinny cechować kupca z Beyrutu.

W jednym rzędzie należy również wymienić Stanisława Kawińskiego (Etizaweta), Tadeusza Frenkła (Kokopopulos), Czesława Skoniecznego (eunuch Ali) i Stefana Hnydzińskiego (Czczeniec Jamiel). Wszyscy oni stanowią doskonały zespół koncertowy, w którym pierwsze skrzypce trzyma Fertner. Kawińska była godną kupcową i matką liczego potomstwa; Frenkiel — mimo, że rola „indywiduum lewantyńskiego” nie dawała mu większych możliwości — błysnął w niej talentem. Eunuch Ali — to jedna z najlepiej zagranych ról w tej sztuce. Skonieczny jest w niej po prostu wspaniały. O Hnydzińskim wystarczy powiedzieć, że ma właściwą rolę. Wszyscy wiedzą, jak ten sympatyczny aktor potrafi grać „swoje” role.

Ażeby być w porządku wobec dwudziestoosobowego zespołu wymienimy jeszcze: panie — Piaskowska, Leszczyńska, Kornacka, Magierówna; panowie — Jaroń, Nowicki, Karczewski.

Stanisław Grzelecki.

0 — 1 — 3

„Myśl Narodowa” rzuciła hasło, by założyć w Warszawie teatr grający wyłącznie Fredrę.

Pewnie nie dojdzie do skutku, bo co tam zajmować się tyle starym Fredrą...

Ale Shawa zawsze gra przynajmniej jeden teatr w Warszawie.

A Tuwim i w jednym by się nie pomieścić.

Wypełnia przecie teraz jednocześnie Cyrulika, Polski i Ateneum.

Omyłka

Wielka firma księgarska za powiada, że odtobnie wyda Kazania O. T. J. S.

— Trzeba będzie kupić, zawołała pobożna osoba, przecież to arcydzieło, te kazania Ojca Towarzystwa Jezusowego Skargi.

Księgarz wyjaśnił: — Istotnie, te Kazania są arcydziełem, ale to Kazania Ojca Thona Jehudy Syna.

JACEK BRZEZINA

72)

PANI NA PUSTYNNYCH SZLAKACH

POWIEŚĆ

Kanonada na górze — urwała się. Słychać było dzikie wrzaski.

Legioniści wdzierali się do fortu.

— Teraz się z sobą porachujemy. — Sierżant wydawał się znowu przytomny.

— Zrobiłaś mnie swoim kochankiem — zaczął spokojnie, lecz w miarę jak mówił wściekłość znów w nim wzrastała. — Nie dlatego, byś mnie kochała, lecz że byłem ci potrzebny. Zmusiłaś mnie do haniebnej pracy, by potem rzucić jak psa, zlekceważyć, pod moim okiem uganiać się za innym, by wreszcie zdradzić mnie z nim...

— Chciałaś z nim uciec — pieniał się — i pozostawić mnie na łasce władz francuskich. Wydałaś Dżekę i innych towarzyszy, chciałaś wydać i mnie. Nie udało ci się, lecz za to zrobiłaś ze mnie zdracę mojego kraju. Wydałem przez ciebie na łup Francuzów setki moich współrodaków — dlaczego? Przez kogo? Przez ciebie, ty...

Podskoczył do niej i z całej siły uderzył ją w twarz.

Zachwiała się.

— Masz... masz... Nie dałem ci doprowadzić do końca twojego planu. Zginę, lecz z tą świadomością, że zginęmy razem...

— Zginiesz sam.

Co Achmed robił podczas walki? W jaki sposób dostał się do fortu i trafił do arsenału? Pozostanie na zawsze jego tajemnicą.

Zjawił się w chwili, gdy sierżant znęcał się nad jego panią. W świetle stojącej na pace latarni błysnęła klinga noża. Sierżant ugodzony między łopatki osunął się bez słowa na ziemię.

— Zginiesz sam — brzmiały mu w uszach słowa Achmeda, tworząc jakąś szatańską melodię.

— Achmed! — zawołała z radością pani d'Anduston. Napięte przez tyle godzin nerwy zelżały nagle. Uczęła w całym ciebie straszne osłabienie, nogi pod nią drżały.

Arab podtrzymywał ją swymi muskularnymi łapami.

— Sitt, trzeba uciekać, legioniści są już na górze...

Huknął strzał.

Achmed złapał się za brzuch. Stał chwilę z szeroko otwartymi oczyma i z wyrazem piekielnego bólu na obwisłej twarzy — wreszcie runął ciężko na ziemię. Skurczył się, jakiś charkot wydobył mu się z krtań.

Stała jak w ziemię wrośnięta, nie mogąc sobie uprzytomnić, co się stało.

— To mu się należało. Niech zdycha jak pies... — usłyszała cichy charkot.

Feher leżał koło paki, oparty o nią głową. Pełnymi jaduczymi wpatrywał się w panią d'Anduston. W ręku dymił mu rewolwer, ciałem wstrząsały przedśmiertne drgawki, z ust ciekła na piersi krew, lecz oczy błyszczały złowieszczo i nadszyczał przytomnie, a wargi usiłowały wydobyć jakieś dźwięki.

Czuła się jak zahipnotyzowana. Lufa rewolweru coraz wyraźniej kierowała się w jej stronę. Chciała uciekać, a czuła, że kroku zrobić nie może.

— A to... dla ciebie... su...

Dosięgła ją kula. Uczuła świdrujący ból, od którego aż ją skręciło. Upadła, wszystko poczęło tańczyć przed jej oczyma. Jakies straszne, czarne oczy patrzyły na nią z góry...

Ostatkiem świadomości uprzytomniła sobie, że ktoś stoi we drzwiach.

— Tom... Tom... — traciła resztki przytomności. Anglik nachylał się nad nią... — kocham cię...

Chichot niczym sztylet rozerwał ciszę śmierci.

Grave odwrócił się. Za późno... Wstrząsana przedśmiertnymi drgawkami rękami sierżanta dosięgła stojącej na pace lampy, porwała ją i ostatnim herkulesowym wysiłkiem rzuciła w kąt arsenału, na paki i beczki, na proch, kule i granaty.

Po raz ostatni nocy tej drgnął, zatrząsł się w posadach Abou-Kemal. Z jękiem i zgrzytem zsunęły się gliniane ściany domostw, z trzaskiem złamała się podstawa wysmukłego minaretu.

Tysiącny echem rozchodzący się po pustyni huk zatrzymał w biegu ręce gazele, wypłoszył z jam szakale, zmusił do skowytu strachu geparda...

Krwawa luna wystrzeliła na kilkadziesiąt metrów w górę, rozlała się na firmamencie, trwała parę sekund i zgasła, jak zgąst ostatni poryw niepodległej Arabii.

Sierżant Feher, na krwawym koniu, wśród setek granatów i kul; otoczony wrogami i przyjaciółmi, setką zebranych na wszelkich kontynentach ludzi uniósł się w nieskończoność, by spocząć jako przywódca świętej wojny na łonie Allacha, lub by w skwarze piekielnym pokutować za swoją nienawiść...

Kto to wie?

(Dokończenie nastąpi)